

# Europejski problem Rosji

Roman Kuźniar

---

**Oszukiwanie samej siebie uniemożliwia Rosji wyjście ze ślepej uliczki, w którą zabrnęła po upadku Związku Sowieckiego. Koncentracja na tradycyjnej, bo zmilitaryzowanej, mocarstwowej pozycji, oraz ignorowanie potrzeby reform systemowych mogło się udawać, ale do czasu. Niedawny kryzys pokazał, jak błędne było to myślenie.**

---

Odsunięta po rozpadzie Związku Sowieckiego od Europy Rosja nie może znaleźć klucza do stosunków z Europą, a właściwie z Unią Europejską. W sensie geopolitycznym Rosja została niejako wypchnięta z Europy na pozycje z końca XVII wieku.

Jej kłopoty biorą się z nadal nierozstrzygniętej tożsamości międzynarodowej. Początkowo jako sukcesor Związku Sowieckiego chciała grać w tej samej lidze, co Stany Zjednoczone. Na Europę patrzono w Moskwie z góry; pewnymi względami zdawano się darzyć zjednoczone Niemcy, które mogły wyrosnąć na mocarstwo reprezentujące kontynent. Częściej jednak snuto sny o potędze i specjalnych, strategicznych związkach z Waszyngtonem. Moskwa zwalczała rozszerzenie NATO, bo chciała zachować monopol na partnerstwo z Ameryką i tylko z nią współokreślać sytuację bezpieczeństwa w naszej części świata. Stąd pomysł „krzyżowych gwarancji” oferowanych nam przez Rosję zamiast członkostwa w Sojuszu. Sen o równości z Ameryką rozwiął się już drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych poprzedniego stulecia.

## Ten straszny Karaganow

Owszem, był czas, gdy prezydent George W. Bush dostrzegął w prezydencie Władimirze Putinie demokratę, gdyż potrzebował jego pomocy w swojej *global war on terror*. Moskwa szybko przekonała się jednak, że Waszyngton wyznaczał jej rolę pomocnika, nie partnera. W kontekście wojny przeciwko Irakowi, Moskwa próbowała sił jako mocarstwo eurazjatyckie budujące koalicję z Chinami i Indiami przeciwko hegemonii USA. Na kierunku europejskim postanowiła przyłączyć się do sprzeciwu wobec tej wojny ze strony Berlina i Paryża, licząc, że w ten sposób osłabi Waszyngton i zyska sojuszników w Europie. Europa dla Moskwy to był wtedy Paryż

i Berlin, Rosjanie starali się przy tym wabić Francuzów i Niemców w taki sposób, aby niejako wyłuskać ich z jedności, jaką stanowiły Unia Europejska i NATO. Stolicie te miały być adwokatami interesów Rosji w jej stosunkach z Unią i Sojuszem oraz w podejściu Rosji do jej bliskiej zagranicy, a może nawet państw Europy Środkowej, które wcześniej znajdowały się w sowieckiej strefie wpływów.

I te rachuby spełzyły na niczym. Niezależnie od wątpliwości czy incydentalnych zachowań niektórych państw tudzież polityków Europy Zachodniej w łonie NATO i Unii Europejskiej, obie organizacje pozostały zasadniczo zwarte wobec polityki Rosji. Rozwój wydarzeń w drugiej połowie tej dekady pokazał, że Ameryka i NATO są poza zasięgiem Rosji. Kryzys 2008 roku, który zadał bolesny cios rosyjskiej gospodarce, kazał Moskwie po cichu zweryfikować mocarstwowe ambicje. Pokazowa pacyfikacja Gruzji w odwecie za inicjatywę militarną Tbilisi miała być karą dla USA i ich próby „osaczenia” Rosji na terytorium byłego ZSRR. Rosyjska ofensywa została jednak powstrzymana nie przez USA czy NATO, lecz właśnie przez Unię Europejską i jej ówczesnego przewodniczącego Nicolasa Sarkozy’ego. Sankcje ze strony Unii mogły się okazać materialnie groźniejsze niż werbalne, niezbyt wtedy zresztą donośne protesty ze strony NATO czy Waszyngtonu.

Rosja zdała sobie sprawę, że prawdziwym wyzwaniem dla jej przyszłości jest odpowiednie ułożenie stosunków z Unią Europejską. Przejawia się to także w niedawnej zmianie podejścia do Polski. To przecież w Paryżu i Berlinie zachęcano Rosjan do ułożenia się z Polakami, gdyż bez tego nie będzie dobrych stosunków na linii Moskwa-Bruksela. W takim właśnie skrótowo zarysowanym kontekście należy widzieć tekst Siergieja Karaganowa *Postawmy na Związek* (opublikowany w „Rossijskiej gaziecie” i przedrukowany w „Gazecie Wyborczej” 28-29 sierpnia 2010 roku). Tekst zasługuje na uwagę nie ze względu na zawartość, lecz po części ze względu na status formalny jego autora, a po części ze względu na jego recepcję w Polsce. Niektórzy polscy komentatorzy dostrzegli w nim powrót do myślenia z czasów Katarzyny II, a rzekoma naiwność i bezradność polskich władz wobec intencji Rosji była ilustrowana słowami znanej piosenki Jacka Kaczmarskiego: „rozgrywka z nimi to nie żadna polityka...”.

Nic bardziej błędnego. Ani tekst, ani jego autor nie zasługują na uwagę, z jaką spotkali się w naszym kraju. Owszem, Karaganow jest znany z arogancji i nieprzyjaznego stosunku do Polski. Był groźny w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy w imię wielkoruskich, mocarstwowych interesów próbował zablokować rozszerzenie NATO. Wielokrotnie z nim wtedy polemizowałem. Był współprzewodniczącym

**Niezależnie od wątpliwości i incydentalnych zachowań niektórych państw NATO i Unii Europejskiej, obie organizacje pozostały zwarte wobec polityki Rosji.**

amerykańsko-rosyjskiej grupy zajmującej się budową strategicznego partnerstwa pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą na początku pierwszej kadencji Billa Clintona, który krótko głosił hasło „*Russia first*”. Aktywność Karaganowa w tamtym czasie skończyła się spektakularnym fiaskiem i nie pamiętam, by od tej pory odniósł jakiegokolwiek analitycznych sukcesy (pomijam finansowe – pod tym względem okazał się bardziej utalentowany). Wbrew własnej o sobie opinii: „najlepszy przyjaciel Zachodu w Rosji, liberał, rosyjski Europejczyk”, Karaganow nie starał się reformować Rosji, przybliżać jej do zachodnich standardów, lecz zabiegał o jej mocarstwowy status, z lekceważeniem i arogancją odnosząc się do praw i interesów jej mniejszych sąsiadów.

## Bezradność mocarstwowca

Przywołany artykuł Siergieja Karaganowa jest świadectwem intelektualnej bezradności jego autora. Dotyczy to zarówno warstwy diagnostycznej, jak i postulatywnej. Tekst prezentuje całkowicie fałszywie stosunki Rosji z Europą i Zachodem po rozpadzie Związku Sowieckiego.

**Różnice między Rosją i Europą w kwestii praw człowieka i demokracji pozostają niemal tak wielkie, jak w swoim czasie między Zachodem a ZSRR.**

Główna pretensja autora polega na tym, że NATO i Unia Europejska, zamiast „dogadać się” z Moskwą i respektować jej strefę wpływów w naszej części świata, rozszerzyły się na kraje Europy Środkowej. Zamiast wspólnie z Rosją ustanowić kondominium, zignorowały jej aspiracje i poszły inną drogą. Ta pretensja to nie tylko atawizm i myślenie w stylu anachronicznej *Realpolitik*, ale także głębokie niezrozumienie sensu, logiki i istoty tych struktur. Dotyczy to zwłaszcza Unii Europejskiej, która jest wspól-

notą opartą na tym samym fundamencie cywilizacyjnym i aksjologicznym i której sensem jest właśnie odchodzenie od polityki siły w stosunkach między państwami. Z taką Unią Rosja nigdy się „nie dogada”. Przyczyną tego, co Karaganow uważa za błędy Europy w stosunku do Rosji, jest całkowita odmiennność cywilizacji politycznych i wizji rzeczywistości międzynarodowej – Karaganow zdaje się tego nie rozumieć. Tę odmiennność, także w mentalności autora projektu, podkreśla nieobecność w nim innych państw Europy Wschodniej, byłych republik ZSRR. Miałyby to być związek Unii Europejskiej i Rosji; o reszcie ani słowa, ona się nie liczy. Światopogląd Karaganowa nie uległ pod tym względem zmianie od dwudziestu lat.

W warstwie postulatywnej Karaganow proponuje po prostu KBWE-bis. Pakt Europa-Rosja, zwany przezeń Związkiem Europy, do którego obok nieeuropejskiej Rosji należałoby włączyć między innymi Turcję i Kazachstan, miałyby obejmować cztery obszary. Notabene Akt Końcowy KBWE z 1975 roku składał się z czterech podobnych koszyków. U Karaganowa chodzi o sprawy bezpieczeństwa, gospodarczo-handlowe, energetyczne oraz humanitarne, kulturalne, swobodę podróży, ale

już, broń Boże, nie o prawa człowieka, standardy demokratyczne czy wolność mediów. Karaganow chciałby od Europy pomocy w modernizacji Rosji i zapewnianiu jej bezpieczeństwa, ale w tym samym tekście pisze przecież o przewadze tendencji antymodernizacyjnych w obecnej Rosji. Pod żadnym z tych czterech względów koncepcja Karaganowa nie może się powieść. W sprawie bezpieczeństwa symbolizuje ją tak zwany plan Dmitrija Miedwediewa, który okazał się tak jałowy, że Zachód włożył go do trumny zwanej OBWE (proces z Korfu), gdzie zostanie „zagadany na śmierć”. Gdy kanclerz Merkel sprytnie powiedziała „sprawdzam” w odniesieniu do problemu Naddniestrza, Moskwa udała, że tego nie słyszy. W sprawach gospodarczo-handlowych trudno liczyć na postęp, jeśli Rosja nadal nie spełnia kryteriów członkostwa w Światowej Organizacji Handlu, do której należy około stu pięćdziesięciu państw świata. Co się tyczy kwestii energetycznych, to przecież wystarczyłoby ratyfikować podpisaną przez Rosję Kartę Energetyczną, na co od lat nalega Unia, a co przecież nie nastąpi. Jeśli chodzi o problematykę praw człowieka, demokracji i pochodne zagadnienia, to różnice między stanowiskiem Karaganowa (Rosji) a Europy pozostają niemal tak wielkie, jak w swoim czasie pomiędzy Zachodem a ZSRR. Karaganow deklaruje się jako „rosyjski Europejczyk, który wierzy w wielkie wartości europejskie – w racjonalność i rozum”. Jak widać, zawodzi go i rozum, i racjonalność, co wynika z dalece niepełnej znajomości europejskich wartości.

**Nie jesteśmy bez winy w tworzeniu iluzji, która pozwalała Rosji wierzyć, że może się dostać do Europy „na skróty”. Zachód bywał nadmiernie wyrozumiały wobec rosyjskiej polityki.**

## Na skróty do Europy? Niewykonalne

Jeśli artykuł Karaganowa jest tak bałamutny, to można by zapytać, po co w ogóle nim się zajmować? Przecież to modelowy przykład „starego myślenia”. Tylko w Polsce zwrócono nań większą uwagę. Można się także zastanowić, dlaczego tak miąłki tekst został zaproponowany jako główny materiał do dyskusji w trakcie letniego Forum Wałdajskiego, skupiającego na zaproszenie władz Rosji przedstawicieli światowej elity. Jest on przecież zbyt nijaki, by potraktować go jako intelektualną prowokację. Może w tym kontekście dziwić i to, że jego autor jest szefem Rady Polityki Zagranicznej przy rosyjskim MSZ. Jeśli przyglądamy się zawartym w omawianym artykule myślom, to tylko ze względu na dość powszechne domniemanie, że autor reprezentuje rosyjski establishment, rosyjską politykę i dyplomację, które nie zawsze mogą oficjalnie wyrazić to, co naprawdę myślą. Jeśli tak jest, tym gorzej dla Rosji. Osobiście w to nie wierzę i choć w Rosji z pewnością jest wielu polityków i dyplomatów, którzy rozumują podobnie, nie jest to główny nurt.

Gdybym miał się mylić, znaczyłoby to, że dla Rosji nie ma zbawienia przez Europę. A przecież Karaganow – i nie on jeden w Rosji – chciałby, aby Europa pomogła jego krajowi wydostać się z postsowieckiej zapaści cywilizacyjnej. To wszystko przy-

**Unia Europejska nie dostosuje się do Rosji, Ukrainy i Białorusi. Warto, aby wiedziały o tym elity polityczne tych krajów.**

pomina trochę epokę Edwarda Gierka w Polsce: Zachód da kredyty i technologie, abyśmy mogli podnieść poziom życia i aby łatwiej nam się rządziło w ramach tego samego ustroju. Bez zmian systemowych taka polityka była skazana na niepowodzenie. Gdyby miało być tak, jak pisze Karaganow, znaczyłoby to, że Rosja nie tylko chce oszukać Unię Europejską, ale przede wszystkim oszukuje siebie. Oszukiwanie Unii Europejskiej jest możliwe tylko w pewnych granicach;

oszukiwanie samej siebie uniemożliwia Rosji wyjście ze ślepej uliczki, w którą zabrnęła po upadku Związku Sowieckiego. Przejawia się to w koncentracji na tradycyjnej, bo zmilitaryzowanej, mocarstwowej pozycji Rosji oraz w ignorowaniu reform systemowych umożliwiających trwały rozwój gospodarczy i społeczny kraju. Dopóki do Rosji szerokim strumieniem płynęły pieniądze za ropę i gaz, reformy wydawały się zbędne. Kryzys 2008 roku, który uderzył w Rosję bardziej niż w kraje zachodnie (choć to one go wywołały), pokazał, że było to błędne myślenie.

Owszem, mamy swój udział w tworzeniu iluzji, która pozwalała Karaganowowi i jemu podobnym wierzyć, że Rosja może dostać się do Europy „na skróty”, czyli na rosyjskich warunkach. Jednak po pierwsze, nasza wina nie leży tam, gdzie wskazuje Karaganow, a po drugie, Moskwa w błędach Zachodu znajdowała uzasadnienie dla grzechów, które sama popełniała. Wina Zachodu, a przynajmniej niektórych zachodnich polityków, polega na tym, że był on niekiedy nadmiernie wyrozumiały wobec rosyjskiej polityki, że na Zachodzie zbyt łatwo znajdowano wytłumaczenie dla jej nieuprawnionych czy nierealistycznych żądań. Skoro przez jakiś czas aktualny był slogan „*Russia first*”, to w Moskwie sądzono, że tak już pozostanie, niezależnie od okoliczności. Jeśli przyjęto Rosję do Rady Europy tuż po krwawej, nieludzkiej rozprawie z Czeczenią, to Moskwa uznała, że akceptujemy *double standards* w sferze praw człowieka. Jeśli nazywamy Rosję krajem demokratycznym, pomimo sposobu, w jaki władze traktują opozycję, to znaczy, że w Rosji panuje demokracja – i tak dalej. Jeśli natomiast jednostronnie i siłowo narzucamy rozwiązanie problemu Kosowa lub dokonujemy agresji na Irak, to Moskwa uważa, że ona także przy użyciu siły, z pogwałceniem prawa międzynarodowego może realizować swoje interesy, na przykład ustanawiać „niepodległą” Abchazję. Jeśli wielu polityków w Niemczech czy we Włoszech (*casus* Silvia Berlusconiego jest tu szczególnie szkodliwy) uważa, że nie należy domagać się od Rosji spełniania pewnych standardów zachowań właściwych państwom demokratycznym, bo to dla niej za trudne, bo nie będzie ona niczym więcej niż Arabią Saudyjską z głowicami nuklearnymi i trzeba robić

interesy z Rosją jako taką, to Moskwie to się podoba i kategorycznie protestuje, gdy inni domagają się od niej przyzwoitego podejścia do słabszych sąsiadów czy mediów i demokratycznej opozycji. W ten sposób Rosji nie pomagamy, w ten sposób nigdy nie dojdzie do jej prawdziwej, całościowej modernizacji, co przecież powinno leżeć w interesie całej Europy, nie tylko Polski.

## Zabrakło rosyjskiego Atatürka

Problem jest znacznie szerszy, bo dotyczy nie tylko Rosji, ale i pozostałych krajów byłego ZSRR, które chciałyby być bliżej Unii Europejskiej, a może stać się pewnego dnia jej członkami, jak na przykład Ukraina, ale jednocześnie robią niewiele, aby stać się Europą pod względem cywilizacji politycznej i otwartej gospodarki rynkowej. Żaden z nich nie zdobył się na prawdziwe reformy zmierzające w tym kierunku. Zdumiewające, jak wszystkie te kraje unikają reform, które przybliżyłyby je do Zachodu. Przyczyn jest wiele, ale tutaj warto zwrócić uwagę na słabość elit politycznych, które są produktem specyficznej mieszanki rosyjskiej i komunistycznej tradycji politycznej. Czasy przełomu wynoszą do władzy wielkie postaci w rodzaju de Gaulle'a, Piłsudskiego czy Atatürka. To właśnie tego ostatniego zabrakło w Rosji czy na Ukrainie. Zabrakło rosyjskiego Atatürka, który zmusiłby Rosję do rozstania się z częścią tożsamości utrzymującą kraj w cywilizacyjnej stagnacji, który zmusiłby ją do modernizacji, do prawdziwego zbliżenia z Zachodem. Miał szansę zostać nim Władimir Putin – on jednak wolał sprawdzać się w roli już to Iwana Groźnego, już to Nikity Chruszczowa, który uderzając butem w mównicę ONZ w Nowym Jorku, domagał się respektu dla Rosji. Na Ukrainie czy Białorusi jest podobnie, jeśli nie gorzej. Krajów tych nie stać nawet na własną wersję Michała Gorbaczowa; wolą kogoś w rodzaju Leonida Breżniewa.

**Moskwa może się nadal nieprzyjaźnie wobec nas niekiedy zachować, ale nie może i nie chce zaszkodzić naszemu bezpieczeństwu.**

Tę mentalność widać też w materiale Karaganowa i tworzy to problemy nie do pokonania dla tych w Polsce, w Niemczech i gdziekolwiek indziej, którzy chcieliby „przychylić Europę” Rosji lub Ukrainie. Próżno szukać wśród polityków rosyjskich, ukraińskich czy białoruskich takich, którzy wiedzą, co to jest Europa i śnią o niej. Znajdziemy ich jedynie wśród literatów (jak Jurij Andruchowycz). Polityka i politycy tych krajów nie starają się przekonać swych społeczeństw do Europy; także społeczeństwa jako całość nie próbują tego wymusić na swoich politykach. My za nich tego nie zrobimy. Nie robią tego ci Niemcy, którzy przymykają oko na zachowania Moskwy, ani ci przyjaciele Ukrainy w Polsce, którzy chcieliby, aby traktować ją jak dziecko specjalnej troski, od którego nie wolno niczego wymagać, lecz należy wszystko mu wybaczyć i natychmiast przyjąć je do Unii Europejskiej oraz NATO.

Nie tędy droga do Europy. Warto, aby wiedziały o tym elity polityczne krajów Europy Wschodniej. Unia Europejska nie dostosuje się do Rosji, Ukrainy ani Białorusi. Gdyby tak miało być, zniszczyłoby to Unię, a i tak nie pomogłoby Rosjanom czy Ukraińcom. Dałoby jedynie satysfakcję paru politykom i ich spin doktorom w Moskwie, Kijowie czy Warszawie.

## Potrzeba wiecznego wroga

W tym stanie ducha naszych wschodnich sąsiadów możliwa jest współpraca, pożyteczna dla obu stron, nawet bardziej zaawansowana niż niegdyś w procesie KBWE. Nie jest jednak możliwy Związek Europejski *à la* Karaganow. Dzisiaj w Europie nie ma przesłanek dla budowy KBWE-bis. Są przecież nowocześniejsze, dalej idące instytucje, trzeba tylko lepiej z nich korzystać. Jest Partnerstwo Wschodnie, Rada

**W Polsce istnieje „partia strachu i wojny” z Rosją, środowisko żyjące z tego, że mamy wroga, którego trzeba się bać i stale toczyć wojnę o wszystko.**

NATO-Rosja, EAPC, programy współpracy bilateralnej UE i NATO z państwami Europy Wschodniej. Ostatnio mówi się o Partnerstwie dla Modernizacji, które miałyby łączyć Unię z Rosją. Młodszym czytelnikom warto przypomnieć ideę Partnerstwa dla Transformacji, z którą minister spraw zagranicznych Andrzej Olechowski zwrócił się do Rosji na początku 1994 roku. Co zrobił jego rosyjski odpowiednik Andriej Kozyriew? Wyszydził i zignorował. Rosji i Ukrainie najczęściej nie podobają się istniejące formy współpracy z Zachodem (Kijów kontestował Europejską Politykę Sąsiedztwa) i domagają się nowych, choć nie potrafiły czy nie chciały skorzystać z dotychczasowych. Jest to wyraz mającej korzenie w poprzedniej epoce magicznej wiary w podpisywane co chwilę nowe traktaty. Kto policzy, ile ich zawarto we Wspólnocie Niepodległych Państw? Nowy, traktatowo ustanowiony Związek nie przybliży Rosji czy Ukrainy do Europy, jeśli te państwa same nie zechcą najpierw stać się bardziej europejskie – nie dla nas, tylko dla swoich społeczeństw.

I wreszcie glossa *pro domo sua*. Dyskutowany tekst jest politycznie i intelektualnie jałowy. Nie stanie się podstawą rozmów pomiędzy Unią a Rosją, nie jest też propozycją nowej Jałty. Jest całkowicie niegroźny. Jeśli w Polsce wzbudził w pewnym środowisku polityczno-opiniotwórczym tak żywe reakcje i posądzenia o powrót do neoimperialnych skłonności Moskwy w stylu Katarzyny II czy Związku Sowieckiego, to jest to oznaką problemu także po naszej stronie. Nie chodzi tylko o percepcję, przeoczenie zmian, jakie zaszły w naszej części Europy po 1989 roku, oraz przecenianie potęgi, możliwości i intencji Rosji. Rosji nie wolno ignorować, Rosja jest i pozostanie mocarstwem, z tym trzeba nauczyć się żyć. Moskwa może się nadal nieprzyjaźnie wobec nas niekiedy zachować, ale nie może i nie chce zaszkodzić

naszym interesom bezpieczeństwa. Byłoby to szkodliwe dla niej samej. Rosjanie umieją szacować osławiony „stosunek sił”. Nawet w sprawach energetycznych nie przekroczą pewnej granicy, ponieważ byłoby to ze szkodą dla ich interesów. Problem po naszej stronie leży bardziej w tym, że oto Moskwa „zabiera nam wroga”. Na Kremlu nie chcą, aby Rosja była w Polsce postrzegana jako państwo nam nieprzyjazne. W Polsce istnieje jednak całkiem pokaźna „partia strachu i wojny” z Rosją, środowisko żyjące z tego, że mamy wroga, którego trzeba się bać i stale toczyć wojnę o wszystko. Pamięamy słowa jednego z sowieckich sekretarzy w końcu zimnej wojny, który powiedział Amerykanom: „A teraz zrobimy wam rzecz najgorszą, zabierzemy wam wroga”.

Niemal w każdym kraju są ludzie, środowiska opiniotwórcze, grupy interesu, które żyją z wroga. Jeśli nie jest on realny, trzeba go wykreować. Pojęcie „polityki strachu” zdążyło się zadomowić w światowej socjologii i politologii. Było to szczególnie silnie widoczne w wielu krajach w kontekście niedawnej „wojny z globalnym terroryzmem”. W Polsce nie trzeba nowego dyżurnego wroga, od stuleci jest nim Rosja. Powody są aż nadto solidne. To się jednak może w końcu zmienić, jak w stosunkach polsko-niemieckich. Od kilkunastu miesięcy po obu stronach widać wysiłki, aby przełamać dotychczasowy schemat stosunków polsko-rosyjskich. Nie wszystkim się to podoba, zarówno w Polsce, jak i w Rosji. Najmniejsze, nawet niegroźne sygnały będą wykorzystywane przez „partię strachu i wojny”, aby wszczynać alarm, roztaczać wizję kondominium, demonizować wpływy Eriki Steinbach, robić z igły widły, a z dawno już pozbawionego intelektualnych pazurów Siergieja Karaganowa – herolda imperialnych ambicji Rosji, która czyha na nas za najbliższym rogiem... 🏰

Prof. Roman Kuźniar jest politologiem i dyplomatą. Doradca ministra obrony narodowej. Specjalizuje się w kwestiach stosunków międzynarodowych i problematyce praw człowieka. Od 1990 roku związany z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, był między innymi stałym przedstawicielem Polski przy ONZ oraz dyrektorem Departamentu Strategii i Planowania Polityki Zagranicznej. W 1995 roku został członkiem polskiej delegacji Komisji Praw Człowieka ONZ. W latach 2003-2005 dyrektor Akademii Dyplomatycznej MSZ, w latach 2005-2007 dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.